

POCZET KRÓLÓW FRANCUSKICH

Teksty L. Stommy otwierają cykl zatytułowany „Poczet królów francuskich”, który ukazywać się będzie w następnych numerach naszego pisma. W cyklu tym autor proponuje czytelnikom antropologiczną lekturę historii. Głównym przedmiotem refleksji jest tu obecność mitu w historii, jego rola i znaczenie w kształtowaniu tradycji historycznej.

LUDWIK XVII I UPIORY

Dnia 10.VI.1795 na małym ementarzyku przy kościele św. Małgorzaty, w dzielnicy jedenastej, wrzucono do zbiorowego grobu zwłoki dziesięcioletniego dziecka. Zmarłym miał być, podług oficjalnego komunikatu, Ludwik Karol Kapet, czyli nierewolucyjnymi słowy — Ludwik XVII, książę Normandii, prawowity następca tronu Francji, syn zgilotynowanego Ludwika XVI. Ale właśnie — m i a l b y ó . Pospieszny, anonimowy pochówek, bo trudno mówić o pogrzebie, wzbudził uzasadnione, głębokie wątpliwości. Od pierwszej chwili powstały też (a historycy spierają się pomiędzy nimi do dzisiaj), trzy zasadnicze wersje wydarzeń: 1. tak, to Ludwik XVII pochowany został 10.VI.1795; 2. nie, Ludwik XVII zmarł wcześniej, u św. Małgorzaty zakopano zaś zwłoki innego dziecka podstawionego w jego miejsce; 3. owszem, pochowano dziecko podstawione, ale podstawiono je z tego powodu, iż prawdziwy następca tronu został oswobodzony lub zdołał się oswobodzić z więzi Temple. Wersje 1 i 2 to mają przynajmniej wspólnego, że zamykają definitywnie epizod krótkiego, nieszczęśliwego życia Ludwika Karola. Natomiast wersja trzecia otwiera drogę do najbardziej fantastycznych spekulacji. W ciągu następnych kilkudziesięciu lat nie omieszkało z tego skorzystać trzydziestu conajmniej awanturników, oszustów i wizjonerów podszywających się pod królewską tożsamość.

Pierwszym i najejawkowszym z tych samozwańców był niewątpliwie „pretendent z Saint Ló”. Nazywał się przypuszczalnie Jean-Marie Hervagault i byłby w takim razie nieślubnym synem hrabiego de Valentinois, następcy tronu Monako, a więc odległym powinowatym Ludwika XVII. Wychowany w krawieckiej rodzinie Hervagault w St. Ló raz po raz ucieka z domu, o czym świadczą zapisy kar wymierzanych mu przez kolejne sądy za będące podówczas we Francji przestępstwem włóczęgostwo. W kwietniu 1799 skazany zostaje na miesiąc więzienia, w kwietniu 1798 już na dwa lata, w lutym 1802 na lat cztery. To właśnie podczas uwięzienia w Vire rodzi się w nim przekonanie o królewskim pochodzeniu. Wrodzony, ujmujący wdzięk i „burboński” typ urody zjednują mu wkrótce licznych wielbicieli i wyznawców. Książdz Laffont de Savine, były preceptor Ludwika XVII rozpoznaje w nim bez wahania swojego jaśnieńswieconego podopiecznego. Rzecz staje się na tyle głośna, iż budzić zaczyna żywe zainteresowanie policji, a nawet samego jej szefa — sławnego Józefa Fouché. To zainteresowanie owocuje kolejnymi miesiącami w areszcie i przymusowym wcieleniem do marynarki wojennej. Kapitan okrętu otrzymuje formalny rozkaz z podpisem Talleyranda: „w przypadku niebezpieczeństwa ujęcia przez Anglików, marynarz Hervagault ma być bezwzględnie roztrzelany”. Do starcia z Anglikami rzeczywiście dochodzi i marynarz Hervagault walczy w nim z taką brawurą, że jego dowódcy publicznie skarżą się na niemożność przedstawienia go do Legii Honorowej „bez

konieczności wmieszania się w tajemnicze i niepokojące sprawy”. Zniechęcony dezerceruje ze statku w 1809 i skazany zaocznie na pięć lat ciężkich robót, ukrywa się u hrabiny de Bèthune — jednej ze swoich fanatycznych wyznawczyń. Ujęty po śmierci hrabiny, wtrącony zostaje do lochów Bicêtre, gdzie nie przestaje z mocą i rozpaczą proklamować swoich praw do tronu. Umiera 8.V.1812 i pochowany zostaje bez trumny w zbiorowej, więziarskiej fosie, w miejscu której stanie za parę lat pomnik z pełnym zadumy napisem: *Cui sunt cineres? Heu! Cinis ipsa deest!* — Czyje są te prochy? Niestety! Nawet prochów brak!

Następcy Hervagault nie mieli już jego niepokojącej charyzmy. Powtórzyła się tu poniekąd historia Dymitrów — samozwańców, z których pierwszy czarował współczesnych wdziękiem i arystokratyczną oglądą tak, iż przez wielu poczytywany był szczerze za prawdziwego syna cara Iwana. Lecz nie narusza się tabu bezkarnie. Świętość podeptana przestaje być świętością (stad powtórne poświęcanie kościołów w przypadku profanacji). Możesz ty, mogę i ja. Następny Ize-Dymitr był już tylko ordynarnym i bezcelnym spryciarzem. Niektórzy z kolejnych pseudo-Ludwików mieli pomimo to poważne atuty. I tak Mathurin Bruneau posiadał znaki szczególne podobne do sygnalizowanych na ciele małego królewicza; Claude Perrin dobre pióro, którym bronił swoich racji; wreszcie ostatni z pretendentów, Karl-Wilhelm Naundorff, znakomitą dokumentację życia codziennego w otoczeniu Ludwika XVI, którą zabijał ówczesnym ekspertem¹.

„Le roi est mort, vive le roi!” (Król umarł, niech żyje król!) — okrzyk ten, wzniósłszy po raz pierwszy 21.X.1422 nad śmiertelnym łóżem Karola VI, stał się, aż po XIX wiek², obowiązkowym elementem rytuału towarzyszącego ceremonii pogrzebowej każdego władcy Francji. Obie części rytualnego zawołania są tu równie ważne. „Niech żyje król!” oznacza, że zachowana została ciągłość instytucji; „Król umarł!” — iż następstwo dokonało się w sposób legalny i prawomocny. W monarchii pojętej jako sacrum tylko śmierć poprzednika zapewnić może prawowitość następcy. Abdykacja pomazańca Bożego jest sprzecznością samą w sobie. Abdykować mogą tylko władcy *de iure* (jak Edward VIII) lub *de facto* (jak Jan Kazimierz), konstytucyjni, ei więc, których funkcja uległa zeświecczeniu, którzy czerpią swoje pełnomocnictwo z prawa ludzkiego, a nie boskiego. Wszędzie tam jednak, bez względu na to, czy będzie to grupa narodowa, plemienna, czy rodzinna, gdzie hierarchia wynika z porządku naturalnego, a więc świętego, przekazanie mocy dokonać się może tylko w ramach tego samego porządku, czyli przez śmierć.

Ciągłość i legalność instytucji są równie ważne. Dlatego wspólna namaszczenia następcy odpowiadać musi wspólności

pogrzebu poprzednika, wspaniałość pogrzebu — wspaniałości koronacji. Zanim świat zobaczy, że jest następcą (Ecece rex!), upewnić się musi i to dobrze upewnić o realności poprzednika. Pogrzeb zmarłego hierarchy ma więc niezwykle istotną funkcję informacyjną — spełnić ma zadanie potwierdzenia faktu. Temu służą saluty armatnie, bicie w dzwony, kondukty przemierzające miasta, temu wreszcie — trudno o trywialniejszą dosłowność — zwyczaj wystawienia zwłok na widok publiczny. Spójrzcie! Zobaczcie sami! Umarł. Zaprawdę umarł. Omnis mortuus est. Przy-noszono ongiś jedzenie na groby przodków. Czy na pewno w celu, jak piszą dziewiętnastowieczni klasycy ludoznawstwa, „dusz nakarmienia”? A może i po to, by upewnić się, że strawa pozostała nietknięta, że więc na pewno umarli, że pozostają zmarłymi.

Wiara w zmarłych zmartwychwstanie możliwa jest tylko w oparciu o przesłankę, że jeszcze nie zmartwychwstali, że czas nie nadszedł, że póki co są nadal najzupełniej martwi. Inaczej bowiem zniknął by podział kompetencji, przestałyby istnieć instytucje, nastąpiła by zagłada naturalnego, świętego porządku świata. Nie bez kozery więc żyjący po śmierci są w logice myśli mitycznej demonami, upiorami, wampirami — istotami niosącymi, jak wszelkie stwory mediacyjne, zagrożenie zagłady świata.

Zmarłych nie grzebie się byle gdzie. Są siedliska żywych i odgradzone murami getta umarłych — cmentarze. Co pewien czas, pod pretekstem „wiecznej pamięci”, „święta zmarłych” i.t.p., przychodzimy sprawdzić, czy aby nie pouciekali, czy aby coś nie naruszyło świętej natury rzeczy, czy jesteśmy prawowitymi spadkobiercami. Dziwi mnie, powtarzające się nagninnie w pracach etnografów, interpretowanie rytuałów zaduszkowych, jako spotkań ze zmarłymi. Toż na grobach rozpała się wtedy ogień. Ogień — oczyszczający znak sterylności, przeciwstawienie płodności. Oto czego naprawdę oczekujemy od zmarłych — żeby już nic nie kombinowali, nie mieszały się do naszych spraw. Żeby przez swoją śmierć pozwolili nam żyć. Vive lo roi!

Eric Muraise i Maurice Etienne piszą, że dopóki uzurpatorzy tożsamości Ludwika XVII chodzili po świecie (t.j. do 1845 — roku śmierci Naundorffa) władcy Europy i ich ministrowie nie mieli spokojnych snów³. Jest w tym bardzo dużo przesady. Ani Ludwik XVIII, ani Karol X, skądinąd najbardziej w sprawę zamieszani, ani tym bardziej Ludwik Filip, nie przejmowali się losami pretendentów i żaden znany dokument nie wskazuje,

by mieli się z ich powodu niepokoić o prawowitość własnej sakry. Dwie krótkie notatki — rozkaz ewentualnego roztrzelania Hervagault i jego list mobilizacyjny, to jedyne oznaki zainteresowania aparatu władzy Napoleona. Dlaczego więc tak bezlitosne były dla pseudo-Ludwików francuskie sądy?

Hervagault, jak już pisaliśmy, skazywany był czterokrotnie. Kolejno, na miesiąc, dwa lata, cztery lata i pięć lat więzienia. Z czterestu lat, które żył po obwołaniu się następcą tronu, aż dziewięć spędził za kratami. Mathurin Bruneau od 16.XII.1815, kiedy to po raz pierwszy deklaruje swą królewską tożsamość, praktycznie nie wyjdzie już z celi. Wyroki Claude Perrin opiewają na sześć i dwanaście lat więzienia etc. Sądzeni byli za włóczęgostwo i dezercję (Hervagault), włóczęgostwo i zniewagę urzędników państwowych (Bruneau), oszustwo i działanie na szkodę państwa (Perrin), fałszowanie pieniędzy i piromanię (Naundorff). Z jednym wyjątkiem rozprawy przeciw Bruneau 19.II.1818, trybunały nie zajmują się kwestią pretensji genealogicznych pod sądnych. Każdy może się uważać za kogo mu się żywnie podoba. Sądzi się za przestępstwa pospolite, za konkretne przypadki naruszenia obowiązujących praw.

A jednak widmo Ludwika XVII krążyło po salach sądowych. Niesłychanej, nawet jak na owe czasy, surowości wyroków: dwa, cztery, czy pięć (Bruneau) lat za włóczęgostwo, nie da się wytłumaczyć inaczej, niż podświadomym przekonaniem jurorów, że upiory nie mają nic do roboty między żywymi ludźmi. Należy je definitywnie odizolować, by nie zakłócały stabilnego porządku świata i negując śmierć nie uniemożliwiały życia.

Ale oczywiście częściej historyków musi być za wszelką cenę „racjonalna”. Wrogość administracji, jak i ludu, z którą spotykali się bez przerwy samozwańcy, starają się tłumaczyć ich przywarami osobistymi (Bruneau — pijak, Perrin — arogant), nastrojami republikańskimi, lub przeciwnie — ortodoksyjno-royalistycznymi ludności itd. Hmm... Jest zrozumiałe, że lubimy wierzyć w nieskazitelną racjonalność naszego własnego myślenia. Po co jednak przypisywać je tak uparcie bliźnim z minionych pokoleń. Czyżby nigdy nie było mitu?

A skądinąd — czyż tak bardzo nieracjonalny jest pogląd, że skoro zmarli mają odpoczywać w spokoju, to i my mamy do tego prawo?

PRZYPISY

¹ E. Muraise, M. Etienne, *Les treize portes du Temple et les six morts de Louis XVII*, Paris 1980, s. 201—227

² Ostatni raz użyto tej formuły 24.X.1824 w Saint Denis podczas pogrzebu Ludwika XVIII

³ Muraise, Etienne, op. cit., s. 226

SZALEŃSTWO KRÓLA KAROLA

Był upalny, sierpniowy dzień 1392 roku. Świta królewska wlekła się stępą przez piaszczyste, podobne do kampinoskich, lasy hrabstwa Maine. Zbliżano się już do Mans, kiedy z młodniaka wyskoczył nagle na drogę ni to żebrak, ni to włóczęga (abjectissimum virum — pisze o nim kronikarz) i rozpoznając nieomylnie Karola VI zaczął rozdzierając krzyczeć: „Zdrada, szlachetny królu, zatrzymaj się, nie jedź dalej!” Wrzeszczał tak, biegnąc za królewskim rumakiem, przez kilkanaście minut, aż wreszcie niewysłuchany i wzgardzony rozwiął się, jak pojawił, w gęstych, sosnowych zagajnikach.

W kilka minut później znużeni jeźdźcy zatrzymali się na przestronnej, rozpalonej słońcem polanie. Było południe. Część orszaku rozjechała się szeroko w złudnym poszukiwaniu dobroczynnego cienia, inni, śladem króla, przysypiali w siodłach, głbie kto stanął. Lanca wysunęła się z ręki zmorzonego słońcem pazia i szcęknęła uderzając o ostrogę. Na ten dźwięk Karol VI otworzył szeroko oczy, wyrwał miecz z pochwy i wołając „Chcę mnie wydać! Bij zdrajców!” rzucił się na własnych dworzan. Nikt nie osmielił się bronić. Uciekano tylko, skrywano się za drzewa, zastawiano głowy tarczami. Brat królewski, książę Orleanu, pierzchnął w las. Z dala wyglądać to musiało na jakąś szaleńczą zabawę w chowanego. Krwawa była to jednak zabawa. Zanim koń królewski ustał i dostoyny jeździec osunął się bezwładnie na kulbakę, wrzosowisko zaległy ciała dziesięciu dworzan, w tym czterech rażonych śmiertelnie. Straszliwa wieść rozniosła się lotem błyskawicy po całej Francji. Król oszalał!

Choroba nie opuści już władcy aż do końca jego dni. Najpierw będą to, jak w lesie Mans, powtarzalne ataki morderczej furii, później coraz dłuższe okresy apatii i melancholii. Po paru latach sytuacja znormalizuje się ostatecznie. Karol VI spędzać będzie dni na polowaniach, ćwiczeniach rycerskich, grze w palanta. Z łatwością opanuje skomplikowane reguły gry w szachy. Do spraw państwa odnosić się jednak będzie z całkowitym zobojętnieniem. Żadne bieżące wydarzenia nie będą go już w stanie poruszyć i przywrócić światu.

A było tych wydarzeń niemało. Państwo osierocone przez monarchę znalazło się szybko w stanie ostatecznego rozkładu. Potężne rody Armaniaków i Burgundczyków wydzierają sobie władzę w kraju. Zwabieni wojną domową Anglicy wkraczają ponownie do Francji i 25.X.1415 rozbijają w pył kwiat jej rycerstwa na polach pod Azincourt. Odległy, nieobecny duchem Karol VI kładzie w Troyes (21.V.1420) podpis pod dokumentem wydziedziczającym z praw do tronu swoją własną dynastię — dynastię potomków świętego Ludwika! Nie było w dziejach większej hańby, nie było większego upokorzenia. W wydawanej przez Pygmalion serii monograficznej „Królowie, którzy stworzyli Francję”¹ przeskakuje się od Karola V wprost do Karola VII. Karol VI Szalony (Charles le Fou), jak brzmi jego oficjalne imię w dzisiejszych podręcznikach i encyklopediach, jest ze wstydem przemilczany.

A przecież kronikarze są zgodni, iż ten król obłąkany, zhańbiony, zaprzodany wrogom ojczyzny, był jednocześnie najbardziej w dziejach Francji kochanym. Jemu też jednemu nadali współczesni wymowne imię Charles le Bien-Aimé — Karol VI Najukochańszy.

Historycy nie dolożyli nazbyt wielu starań by wytłumaczyć ten paradoks, zadawalając się, jak Michelet, ogólnikami o litości ludu dla króla, lub uroku osobistym Karola VI. Jedna Francoise Autrand² stara się zbudować paralelę pomiędzy chorobą króla i chorobą państwa. Stan króla uosabia i symbolizuje sytuację kraju. Przez współczucie dla monarchy wyraża się współczucie dla sponiewieranej ojczyzny. Przez miłość do niego, miłość do niej. — Czyż jednak za Karola VII lub Ludwika XI, następców nieszczęsnego władcy, mniej kochano ojczyznę? Cze-

muż więc nie oni stali się bien-aimés, czemuż nie z ich imionami połączyła się pamięć paroksyzmu narodowego uwielbienia?

Francoise Autrand przypomina o symbolicznej funkcji monarchy w średniowiecznym społeczeństwie. Czy jednak rzeczywistość polegała ona wtedy na utożsamianiu państwa z władzą? — Toż dopiero w dwa i pół wieku później, 13.IV.1655, wypowiedział Ludwik XIV swą sławetną maksymę „Państwo, to ja!”, a i on zrektyfikuje ją przed śmiercią oświadczając dworzanom: „Je mien vais, mais l'Etat demeure après moi.” („Ja odchodzę, ale Państwo pozostaje”). Król Francji przełomu XIV i XV wieku to przede wszystkim rex-sacerdos, pomazaniec Boży, przez Boga ukoronowany (rex a Deo coronatus) i włączony do hierarchii niebiańskiej. Poświadcza jego świętą moc nie tylko uroczysty ceremoniał koronacyjny namaszczenia, czy wymowa insygniów, ale również cudowny, świętym tylko właściwy, dar uzdrawiania chorych⁴. Królom, przez ich świętość, dane jest też rozumienie znaków i przeznaczeń zakrytych przed oczyma zwykłych śmiertelników.

Wróćmy teraz na chwilę do lasu Mans. Autrand widzi w pojawieniu się osobliwego wróżka machinację księcia Orleanu. Zaiste, oryginalna to koncepcja zakładająca, iż można na zawołanie wpędzić kogoś w utratę rozumu. I po co? Czyż nie korzystniejsza, a o ileż bardziej pewna, byłaby dla domniemyanych spiskowców celna strzała z kuszy? Powiadają świadkowie, że dziwny człowiek biegł za królem i wykrzykiwał swoje przestrogi przez ponad kilkanaście minut. Juvénal des Ursins wydłużył ten czas do godziny. Króla otaczało kilkudziesięciu jeźdźców — paziowie, dworzanie, baronowie, eskorta... Dlaczego więc nikt nie interweniował, nie ujął dziwnego przybłędy, nie poddał przesłuchaniom, nie przepędził przynajmniej? — Odpowiedź może być tylko jedna. Oto niespodziewano pojawienie się wśród lasu wieszce postaci miało dla tych ludzi średniowiecza wymiar tajemniczy i nadprzyrodzony. Świętości można się lękać, nie można jej natomiast usunąć środkami, rzec by się chciało, administracyjnymi. Niechaj rozsądzi król-pomazaniec. Zresztą do niego i do niego tylko zwraca się niesamowity przybysz.

I król rozsądził. Nie oglądając się spiał konia ostrogą i ruszył naprzód. Czy zlekceważył nadprzyrodzone ostrzeżenie? O nie! „Przepowiednia okrutnie go poraziła” — zoznaje Le Religieux de Saint-Denis; „Utknęła mu w głowie i bardzo poruszyła” — dorzuca Jean Froissart, obaj świadkowie naoczni. A jednak nie zatrzymał się, podjął straszliwe wyzwanie. Dla współczesnych nie mogło być wątpliwości. Karol VI pomimo ostrzeżenia wybrał zły los, świadomie nań przyzwolił. Zgodził się na przyszłe cierpienie, na wzgardę, na niezrozumienie, na obłąd.

Kwestia mitycznej ambiwalencji obłąd — obłąd dającego moc — była już w klasyce etnologicznej wielokrotnie analizowana. Dodajmy więc tylko, że szaleństwo dotyczące pomazania Bożego ma szczególną wymowę i moc. Nie bez kozery podkreślają kronikarze z natrętną dobitnością, iż umysł miał monarcha jasny, jeżeli tylko nie chodziło o niskość spraw doczesnych. Cierpienie Karola VI włączając się w „porządek wyższy”, nabierając wymiaru metafizycznego, staje się figurą pasji Chrystusowej.

Jean Delumeau⁵ i Philippe Ariès⁶ zauważają, że motywy „cierpiętnicze”, jak danse macabre, czy obrazy sądu ostatecznego, zanikają w sztuce zachodnioeuropejskiej wraz z utratą popularności przez wątek powszechnego zmartwychwstania (zmartwychpowstania ciała). Gdzie traci na znaczeniu fizyczność zmartwychwstania, idealizuje się również i odrywa od swej fizycznej dosłowności rozumienie cierpienia. Znika sprzężenie zwrotne między cierpieniem i odkupieniem. Jesteśmy jednak w pełnym średniowieczu. Odkupienie (czyż mesjanizm polski nie oprze się później na tej samej przesłance) nie może nastąpić bez cierpienia.

Cierpienie przynieść musi odkupienie. W mistycznej wyobraźni ludu francuskiego początków XV w. wybrana świadomie męka ich świętego króla nie może być bezcelowa. Kochają więc tego, który poświęcił się dla nich, kochają na miarę jego upokorzeń, hańby i umęczenia. Nie było w dziejach większego upokorzenia, nie było więc i większej miłości. Kochając, czekają w utęsknieniu, lecz i z pewnością na czas odkupienia. Joanna d'Arc może przyjść.

I Joanna d'Arc pojawia się na scenie. Spotkanie na zamku w Chinon 23.II.1429 należy do najgłośniejszych momentów historii światowej. Przypomnijmy więc niektóre tylko elementy. Karol VII — syn Najukochańszego ma już 26 lat. Jest niezdecydowanym, chwiejnym melancholikiem. Nękają go, paraliżując wolę, pogłoski o nieślubnym pochodzeniu, wyroki traktatu w Troyes, jawna wrogość mieszkańców Paryża. Pomimo tragicznej sytuacji kraju spędza więc czas na dworskich zabawkach uchylając się od wszelkiej odpowiedzialności w kwestiach państwowych. I nagle wchodzi ona. Poznaje go nieomylnie, mimo przebrania, skrytego między dworzanami. — „Idź do Reims Szlachetny Delfinie, tam będziesz namaszczonej i koronowany, tam staniesz się namiestnikiem Pana Niebios i królem Francji”. Mamy tu częściowe powtórzenie sytuacji z lasu Mans. Dziwna postać rodem z ludu (za chwilę uczeni w piśmie będą przesłuchiwać Joannę, czy nie jest aby wysłanniczką diabła), przybywająca nie wiadomo z czyjego poduszczenia by rozpoznać władcę i przepowiedzieć mu przyszłość. Poza tym jednak same przeciwieństwa. Tamten był „vir abjectissimus”, Joanna jest młodą dziewczyną nad której nadprzyrodzoną pięknnością rozwodzi się cała Francja; tamten energicznego króla skazał na obłąkańczy letarg, ta przeciwnie — tchnie energię w króla pogrążonego w letargu. Jest w tym głęboka, mityczna konsekwencja. Człowiek z lasu jest

wszakże figurą strażnika faryzejskiego przybywającego do ogrodu oliwnego za potokiem Cedron, Joanna — anioła w bieli, stojącego przy odsuniętym od grobu kamieniu. Potwierdza to nieskazitelna symetria następnej opozycji, gdzie przebudzenie Karola VII (nowego weielenia ojca) z letargu jest znakiem zmartwychwstania monarchii i słodkiej Francji.

Karol VII okazał się potem wielkim reformatorem, oswobodzicielem Paryża, zdobywcą Normandii... Panował długo (39 lat) i szczęśliwie i miał dużo dzieci (m.in. Ludwik XI i Karol książę Berry).

Jan Baszkiewicz przykładając szkieleto i oko do historii Francji nie wspomina nawet o dramatycznych wypadkach w lesie Mans; o patetycznej scenie w Chinon pisze zaś krótko, że jest „zapewne nieprawdziwa”⁷. Przyznaje natomiast, że „król Karol VI wegetował w obłądzo”⁸. Chwała ostrożności historyków, chwała poszukiwaniu prawdy przez P wielkie, jak prawe ucho słońca.

Etnolog staje przed nieodpartą pokusą traktowania historii jako mitu, jako produktu kultury poddanego nieubłaganym prawom jej struktur. Etnolog nie interesuje jak to tam naprawdę było, ale co było na tyle uwypuklające sens rzeczy, że zostało zapamiętane; co i w jakiej formie trafiło do świadomości i bagażu kulturowego następnych pokoleń. Porządek, który etnolog odnajduje w historii jest więc innego rodzaju, niż porządek istotny dla historyka. Pomimo to jestem przekonany, iż gdyby wydarzenia w Chinon miały być nieprawdziwe, Karol VI nie byłby szaleńcem. Po prostu jego szaleństwo nie byłoby wtedy historii potrzebne. Nie miałyby sensu. Tymczasem istotą rzeczywistości jest sens.

Proszę więc Jana Baszkiewicza o sprostowanie jednego z dwójga.

PRZYPISY

¹ G. Bordonove, *Les rois qui ont fait la France. Les Valois*, t. I. *Charles V*; t. II. *Charles VII*, Paris 1985

² F. Autrand, *Charles VI*, Paris 1986

³ J. Le Goff, *Kultura średniowiecznej Europy*, W-wa 1970, s. 272

⁴ M. Bloch, *Les rois thaumaturges*, Paris 1924

⁵ J. Delumeau, *Le péché et la peur*, Paris 1983, s. 102—103

⁶ Ph. Ariés, *L'homme devant la mort*, Paris 1977, s. 109

⁷ J. Baszkiewicz, *Historia Francji*, W-wa 1978, s. 168

⁸ tamże, s. 163